Rozmaitości

Dnia 15. Kwietnia Nr 15. 1837 Roku.

B Ó B.

Powieść z niemieckiego p. Czoke.

(Dokończenie.)

Tak opowiadał podpułkownik; ale ja końca powieści już nie słuchałem. Wszystko się ze mną dokoła obracało; w moich uszach szumiały fale morskie, czasami tylko przebijało się środ tego szumu imię Jozefiny... Dano znać, że pojazd podpułkownika zaszedł.

»Żadnym sposobem, nie! na to nie pozwolę,« zawołał radzca sprawiedliwości; »ja nie mogę pozwolić na odjazd w pośród nocy.«

»Dla czegoż nie?« rzekł mu podpułkownik; »noc jest widna, najprzyjemniejsza, a światło księżyca dodaje wdzięku.«

Zameldowano także i mój pojazd. Wstałem i zbliżyłem się do podpułkownika, wziąłem go za rękę i zapytałem: »Wćpan nazywasz się de Tarnau?« On skłonił się i potwierdził moje zapytanie. »Proszę cię, panie podpułkowniku, abyś noc dzisiejszą u mnie przepędził,« rzekłem, »bardzo mi wiele na tém zależy. Wćpan nie możesz odjechać, mam z nim o ważnych okolicznościach do pomówienia.«

To rzekłem tak śmiało, a razem tak drżącym głosem, że mój starzec nie wiedział, co ma począć ze mną. Mimo tego jednak okazał stałość, i oświadczył, że musi koniecznie powracać do domu. Jego uporczywość prawie mnie do rozpaczy przywodziła.

»Pójdź wćpan ze mną!« rzekłem i wziąwszy go pod ramię, odprowadziłem prawie przemocą na stronę. Tu wyciągnąłem z mego zanadrza sznurek, i pokazałem bób przy nim będący. »Patrz wćpan! nie tylko jest igrzysko natury, ale są oraz igrzyska przeznaczenia! Ja także noszę bób na piersiach!«

Stary wojownik otworzył oczy széroko, wpatrzył się w mój klejnot, potrząsł głową, a nakoniec rzekł: »Takim talizmanem można nawet i po mojéj śmierci ducha mego zakląć! Zostanę, i pojadę z wćpanem, dokąd tylko sam zechcesz.« To rzekłszy wyszedł z radzcą dla odprawienia swojego pojazdu. Jednak, żem się u niego niejako w podejrzenie wprowadził, nie omieszkał wypytać się o mnie.

Pan radzca był tak grzecznym, że wszystko na moję stronę jak najkorzystniej opowiedział. Pomiarkowałem to zaraz po nich, skoro do pokojów wrócili. Stary podpułkownik okazał się bardzo grzecznym dla mnie, a przytém był w dobrym humorze. Podał mi szklankę z ponczem i rzekł: »Więc niechaj żyją boby! *nota bene:* wraz z tém, co one oznaczają.« Uderzyliśmy w szklanki, a życie we mnie wróciło.

»Więc wćpan jesteś pan de Walter?« odezwał się po niejakiéj chwili podpułkownik.

»Tylko sam Walter, bez żadnego dodatku.«

»Byłeś przed rokiem w Wiédniu?«

»Tak jest, byłem tam w istocie,« odrzekłem i w téj chwili zdało mi się, żem się cały w płomień zamienił.

»Tak tak,« mówił daléj podpułkownik; »siostra méj żony wiele mi o wćpanu nagadała, mieszkałeś z nią w téjże saméj oberzy; okazałeś téj dobréj damie wiele grzeczności, za co ona wćpanu dokładniéj sama ustnie podziękuje.«

Odtąd stała się rozmowa powszechniejszą, aż się goście zabrali do wyjazdu.

Podpułkownik pojechał ze mną do mojego domu, gdziem go natychmiast do przygotowanych dla niego zaprowadził pokojów.

»Cóż teraz?« zapytał mnie, »dotąd byłem wćpanu posłusznym. Cóż tedy tak ważnego

masz ze mną?« Ja zacząłem powieść od Wiédnia; powiadałem o ciotce, o Józefinie. »To wiém wszystko,« przerwał mi, »ależ do kata, jakiżto ma za związek z bobem, któryś mi wćpan pokazał?«

Teraz dopiéro musiałem złożyć spowiedź jeneralną, z któréj o wszystkiém się dowiedział.

»I o tém wiém wszystko!« krzyknął, »ależ ten bób, ten bób?«

Natenczas opowiedziałem mu moję powtórną podróż do Wiédnia. Rozśmiał się na to głośno, i przycisnął mię serdecznie do piersi.

»Dzisiaj nic już więcéj o tém; jutro pogadamy obszérniéj. Wćpan wiész dobrze, że ja mu na to nic powiedzieć nié mam; bo czegoż mógłbyś ode mnie żądać? Jutro pojedziesz ze mną do moich dóbr, tam zobaczysz Józefinę, tam poznasz moję Zofiję. To jest rzecz jasna, że się poznać musicie.«

Po téj rozmowie, poźna noc wezwała nas na spoczynek; rozeszliśmy się, poszedłem i ja do łóżka, ale mój sen był marzeniem w gorączce; latałem balonem po rozkosznych przestrzeniach nadziei!

»Panie Walter, teraz masz mi wyznać rzetelną prawdę,« rzekł do mnie nazajutrz pan de Tarnau podczas śniadania; »wiém, że jesteś bogaty; widzę, żeś młody kawaler, przed którymby z bojaźni żadna dziéwczyna do klasztoru nie uciekła; słyszę, żeś poczciwy człowiek, którego cała okolica poważa i szanuje; a teraz zaś od niego samego dowiaduję się, żeś rozkochany. To bardzo dobrze, ale wszystkoto razem wzięte, nie jest jeszcze dostateczne, ażeby.....«

»Zbywa mi na dyplomie szlachectwa!« przerwałem spieszno.

»Nie mości panie! gdzie dusza i serce wzięły pieczęć szlachectwa od Boga, tam się obejdzie bez pargaminu świata. Ja byłem także tylko prostym szlachcicem, a przecież mnie hrabianka Zofija kochała.«

»Czegoż mi tedy nie dostaje?« zapytałem.

»Odkryję to wćpanu teraz, gdyż jest czas porankowy. W wieczór, gdzie człowiek od trudów i ciężarów dnia całego jest uciśnionym, w wieczór, najsilniejszy osłabnie, najsłuszniejszy zchyli się, w wieczór nie należy się nikogo aczby dźbłem słomy obarczać. Więc teraz powiém otwarcie: Z bobem wćpana ma się rzecz wcale inaczéj, niż z moim; mój był oznaką przeznaczenia: najprzód był on kamieniem zgryzoty, smutku; potém węgielną podporą statecznéj miłości; potém światem, rzuconym między dwa połączone serca, a na ostatek przewodnikiem, który je znowu połączył. Przeciwnie miłość wćpana jest urojeniem. Ja żyłem jedynie dla Zofii od piérwszéj chwili jéj poznania; wćpanu zaś, więcéj jak po skończonym roku przyszło dopiéro na myśl zakochać się w Józefinie. Wćpan mnie zrozumiałeś, i nie możesz przeciw temu nic zarzucić. Wćpan się z swego marzenia uleczysz skoro tylko moję córkę znowu obaczysz, skoro ta niebiańska istota w zupełnie naturalną i ziemską przemieni się dziewczynę. Nakoniec, i *nota bene!* musimy tę rzecz zaatakować z frontu, bez dalszych innych ogródek: Józefina nie kocha wćpana.«

»Ach, to jest okropna!« westchnąłem, »lecz jesteś wćpan tego pewny?«

»Dziś pojedziemy do mojéj włości, tam się wćpan przekonasz. To wszystko, co wiém o wćpana bytności w Wiédniu, mam to jedynie od méj żony siostry, nie zaś od mojéj córki, która może ledwie pamięta, jak się wćpan nazywasz. Co większa, mamy tam jednego niebezpiecznego sąsiada, młodego hrabię de Holten, który nas często odwiédza; Józefina widuje go chętnie, zszedłem ją często z nienacka, kiedy swój wzrok z upodobaniem w jego twarzy trzymała; a skoro mię spostrzegła, zarumieniła się jak poziomka, i odbiegła śmiejąc się i spiéwając.«

»O, kiedy tak jest, panie podpułkowniku,« rzekłem po niejakiéj chwili, w któréj się upamiętałem; »jeźli tak jest, tedy z wćpanem nie pojadę. Mnie będzie lepiéj, gdy wćpana córki więcéj widzieć nie będę.«

»Wćpan się mylisz,« odrzekł podpułkownik, »jego spokojność jest mi drogą. Wćpan musisz ją widzieć, dla sprawdzenia swych wyobrażeń, i dla zupełnego się uleczenia.«

Po wielu za i przeciw, wsiadłem z nim do pojazdu. W istocie, teraz uczułem to dobrze, że moja fantazyja mogła mi psotę wypłatać. Jak długo w moich miłosnych marzeniach zostawałem, chętnie mojéj idealności byłem wierny; malowałem sobie Józefinę w najokazalszych powabach i przypisywałem jéj cichą, uprzejmą i tajemną wzajemność, gdyż to zaspokajało mię, i podchlebiało moim

urojeniom). Aż dopiéro teraz, gdy piérwszy raz z trzecią osobą w okolicznościach mojego serca pomówiłem, dopiéro teraz poznałem, iż połowa mojéj miłosnéj przygody była przeze mnie samego wymyślona. Dopóki tylko jakowa myśl, albotéż uczucie zostaje w zatajeniu, dopóty nie znamy ich postaci. Dopiéro słowo, to ciało myśli, nadaje wyobrażeniom pewność i rzeczywistość. Oddziela sen od prawdy, i użycza duszy mocy rozpoznania ich, jako obcych i różniących się istot.

*

Był pod ówczas piękny dzień czerwcowy, gdyśmy do włości pana de Tarnau jechali, a mój umysł, nad czém się sam nie mało dziwiłem, był tak spokojny, jakiego od roku nie miałem. Moje lekkie, z grzeczności wynikające związki z Józefiną i jéj ciotką podczas mojéj piérwszéj bytności w Wiédniu, tak mi jasno stanęły w pamięci, iż sam tego pojąć nie mógłem, jakim sposobem mógłem wczoraj jeszcze i przed wielą miesięcy uprząść sobie taki szał miłosny, a co było najgorsza, i com teraz dopiéro poznał, że Józefiny w Wiédniu wcale nie kochałem, pomimo to, że ją za tak godną kochania miałem.

Pojazd stanął przed pięknym, ale nie okazałym domem. Służący wybiegli ku nam. Podpułkownik wprowadził mię do pokoju. Przeciw nam wyszły dwie damy podeszłego wieku. Podpułkownik oznajmił moje nazwisko, a gdy z nich starszą wziął w swoje ramiona, rzekł do mnie: »Oto jest moja Zofija!« Skłoniłem się z uszanowaniem téj sześćdziesiąt-letnéj matronie, która mię z opowiadania wczorajszego wieczora tyle zainteresowała. »Ach!« westchnąłem w głębi serca, »i czémże jest młodość, czém piękność!« Ledwie nie powinienem był uwierzyć, że ten doświadczony w świecie weteran z moich ócz wyczytał znaczenie tego westchnienia, albowiem w téj samej chwili, przyłożywszy rękę swéj małżonki do ust, i całując ją, rzekł do mnie z uśmiechem: »Nie prawdaż, przyjacielu! kiedy patrzymy na starego mężczyznę i starą niewiastę, trudno sobie pomyślić, że kiedyś młodymi byli, a gdy znowu widzimy panienkę w samym kwiecie młodości, ledwiebyśmy o zakład nie poszli, że się nigdy postarzéć nie może.«

Ciotka Józefiny poznała mię od piérwszego wejrzenia. Powiedziała mi wiele słów obowiązujących. Usiedliśmy około stołu, i dla kompanii dam, śniadaliśmy powtórnie.

»A gdzież jest Józefina?« zapytał podpułkownik, »cieszyć ją będzie odnowienie znajomości wiédeńskiéj.«

»Poszła do ogrodu z hrabią de Holten. Podlewa tulipany, nim słońce w górę podejdzie;« odpowiedziała ciotka.

Po mnie dreszcz przeszedł. Wszystkie moje urojone nadzieje spełzły! Jednakże nie dałem tego, ile możności, poznać po sobie; nie miałem tutaj żadnych praw za sobą; a tém samém nic do stracenia. Zacząłem się prawie wstydzić moich uroszczeń i rozbujałych zamysłów. Stałem się weselszym i dotrzymywałem kompanii w różowym humorze. Opowiadałem ciotce, jakim sposobem starałem się ich w Wiédniu za moją tam powtórną bytnością wyszukać.

W czasie naszéj rozmowy wszedł do pokoju młody mężczyzna, szlachetnéj postaci i układnego wychowania; lecz twarz jego była wybladłą, oczy zasępione, smutek okazujące; zdawało się, że wiele ciérpi, że się mu coś nadzwyczajnego zdarzyło.

»Łaskawe panie,« rzekł spiesznym, jednotonnym głosem, jak gdyby się téj przemowy nauczył; »pozwólcie mi, abym was pożegnał. Odjeżdzam do stolicy..... jestem..... muszę..... może długi czas zabawię..... może bardzo daleka podróż.....«

Podpułkownik, zwróciwszy głowę ku niemu, przypatrywał mu się bez poruszenia. »Cóż wćpanu jest, panie hrabio!« zawołał, »wćpan tak wyglądasz, jak gdybyś jakie zabójstwo popełnił.«

»Nie!« odpowiedział z wymuszonym uśmiéchem, »jestem raczéj ten, na którym zabójstwo spełniono.« To rzekłszy, ucałował obudwóch dam ręce, uścisnął podpułkownika, i wybiegł spieszno z pokoju.

Podpułkownik wyszedł za nim; damy zostały w nie małém pomieszaniu. Teraz to dowiedziałem się, że ten młody mężczyzna był hrabia de Holten, z blizkiego sąsiedztwa, że wczoraj wieczorem, jak się często zdarzało, przyjechał do nich z wizytą, i że przed godziną jeszcze był w bardzo wesołym humorze, a teraz, stał się prawie do siebie niepodobnym.

»Cóż się mu stało?« pytały damy podpułkownika, za jego po niejakiéj chwili powrotem.

Stary, przybrawszy ton poważny, potrząsł głową, i rzekł z uśmiéchem do Zofii: »Zapytaj się Józefiny.«

»Może go czém obraziła?« odzywa się z troskliwością ciotka.

»Można to sobie różnie wytłumaczyć!« odpowiedział podpułkownik, »jestto dosyć długa historyja, ale mi ją hrabia w trzech słowach opowiedział: Kochałem, a nie byłem wzajemnie kochany.« W tém otwiérają się drzwi, a panna de Tarnau wchodzi do nas.

Ona to była! ale daleko piękniejsza, niżelim ją w Wiédniu widział; więcéj posiadająca wdzięków, niż sobie moja wyobraźność wystawić mogła! Powstawszy, chciałem ku niéj zbliżyć się, ale nogi moje zachwiały się podemną; stałem, jakby przykuty, wymawiałem jakoweś słowa bez związku; zgoła, byłem zarazem najszczęśliwszym i najnieszczęśliwszym z ludzi... Mocno zarumieniona Józefina stanęła przy drzwiach, jak wryta, wpatrywała się we mnie, jakby w zjawionego ducha, a potém, ochłonąwszy z pomieszania, przybliżyła się z przymileniem do stołu.

Nareszcie, po wzajemném piérwszém przywitaniu, tajemnica naszego wcale niespodziewanego zejścia się, została odkrytą. Ja opowiedziałem jéj, jak dopiéro dnia wczorajszego dowiedziałem się o jéj tutaj mieszkaniu, i że jéj ojciec, dobra w Morawii miane, dla nieprzyjemnych familijnych związków sprzedał, i tutaj, w téj najprzyjemniéjszéj krainie osiadł.

»Ach ciociu, luba ciociu!« zawołała Józefina, ująwszy jéj rękę w swe obiedwie i przyłożywszy do swych piersi. »Nie powiedziałażem tobie, kochana ciotuniu... I jakże? Zawiodłoż mię przeczucie moje?« To mówiąc wlepiła we mnie wzrok swój, w którym najserdeczniéjsza radość przemawiała.

Dobra ciotka spojrzała na Józefinę okiem, milczenie nakazującém. Matka spuściła oczy ku ziemi, aby ukry a pomieszanie swoje. Ojciec wpatrywał się okiem dociekającém to w jednych, to w drugich; a nareszcie powstawszy z krzesła, rzekł mi głośno do ucha: »Panie Walter!... mniemam, żeś wćpan ów bób nie daremnie znalazł.«

»Ale Józefino! cóżeś ty miała z hrabią, że się tak spiesznie oddalił?«

Józefiny odpowiedzi dążyły do tego, aby się wyśliznąć od wyznania. Powstali wszyscy. Wyszliśmy do ogrodu. Podpułkownik pokazywał mi swe zabudowania, pola, łąki, stajnie, stodoły; gdy tymczasem kobiéty zabawiały się żywą rozmową w pawilonie.

Po cało-godzinnym, a zbyt nudnym dla mnie przeglądzie, wróciliśmy do kobiét z naszéj ekonomicznéj przechadzki.

Tu wzięto starego na stronę, a mnie dla kompanii zostawiono Józefinę.

Przedsięwziąłem sobie zachować się w rozmowie z Józefiną w karbach saméj tylko grzeczności; lękałem się losu hrabiego de Holten. Rozmawialiśmy o naszém bawieniu i poznaniu się w Wiédniu, o naszych rozrywkach, zabawach, spacerach i o niektórych małych wypadkach.

»Ach!« odezwała się Józefina, »gdybyś wćpan był wiedział, ileśmy ucierpiały z przyczyny tak nagłego wćpana odjazdu; od téj chwili nie było żadnego dnia..... myśmy bardzo często o wćpanu spominały.«

Teraz dopiéro, bo jakże mogło być inaczéj, zacząłem i ja moje opowiadać wypadki: moję powtórną podróż do Wiédnia, moje zamieszkanie ich pokojów, a nareszcie coraz cichszym, coraz cichszym głosem i z coraz większą bojaźnią, powiedziałem o znalezieniu bobu, o powrocie do domu, o przypadku wczorajszego wieczora. Poczém zamilkłem. Nie śmiałem wznieść oczu. Zmieszany, ryłem nogą w piasku.

Józefina długo milczała. Nakoniec zdało mi się słyszeć płacz; spojrzałem w górę i spostrzegłem, że sobie twarz chustką zakryła.

Drżącym głosem zapytałem: »Pani, na miłość Boską! Miałożby moje rzetelne wyznanie być urazą dla ciebie?«

Józefina puściła z rąk chustkę, i uśmiéchnąwszy się, wejrzała na mnie zapłakanémi oczyma. »Jestżeto wszystko prawdą?« zapytała po niejakiéj chwili. — Ja zdjąłem z mojéj szyi sznurek z bobem, i pokazując go, rzekłem: »Niechaj ten świadek mówi za mną!«

Ona, jakby z ciekawości widzenia oprawy złotéj wzięła sznurek do ręki. Wpatrzyła się weń mocno. Zalała się łez strumieniem. Poczém oparłszy się na mojéj ręce, położyła swe czoło na mojém ramieniu, i rzekła: »Walter! teraz wierzę w przeznaczenie!«

Tu objąłem to niebiańskie stworzenie mojemi ramiony, i zawołałem: »O! czemuż teraz,

w téj słodkiéj chwili śmierć mię nie zabierze!« Ona wejrzała ku mnie z przelęknieniem.

Głosy nadchodzących z pomiędzy krzewin angielskiego ogrodu ostrzegły nas, abyśmy przeciw nim poszli. Kiedyśmy przed jéj rodzicami stanęli, Józefina trzymała jeszcze w rękach sznurek z bobem. Podpułkownik spostrzegł to i rozśmiał się z całego gardła. Józefina ukryła swą śliczną twarz na piersi ukochanéj matki — ale nacóż tu więcéj gadaniny? Wszak wiécie, że Józefina już jest moją małżonką; ja chciałem wam tylko romans mojego zakochania opowiedzieć.

PRZYGODA
AMERYKANINA W HISZPANII,
W LIPCU R. 1836.

Z francuzkiego G. Cordiera.

Była godzina piérwsza po południu, gdy Toledo opuściłem; miałem jeszcze ze 28 mil ang. do Aranjuez, i mimo natężeń mojego muła, nie podobna mi było przybyć tam wcześniéj, jak o godzinie 7méj wieczorem, właśnie gdy dyliżans do południowéj Hiszpanii już był od godziny ku Ocannie odjechał. Nie mając ani chwili do stracenia, przytém nie znalazłszy innéj sposobności prędszego dostania się w zamierzone miejsce, zdjąłem pychę z serca, zarzuciłem tłómoczek na plecy i pieszo, bez wszelkiéj innéj obrony, jak tylko z potężnym kijem w ręku, udałem się w drogę do Ocanny, dla dopędzenia dyliżansu, który tam do północy miał bawić. Po upływie może dwóch godzin zdybałem się z pewnym młodym chłopakiem, który na ośle jechał. W zamiarze pozbycia się ciężaru mojego tłómoczka, starałem się wejść z nim w rozmowę, lecz biédny chłopak mając mnie za rozbójnika, nogami i nahajką popędziwszy osła, chciał uciec przede mną. Ale ja za nim w czwał pogoniłem i trwało kilka minut, że obaj wrzeszczeliśmy z całego gardła, ja, by go uspokoić, on zaś wzywając pomocy wszystkich Świętych. Nareszcie zacząwszy domyślać się, że zamiary moje najspokojniejszémi były, umieścił moje zawiniątko przy swojém, sam zaś, ile możności, stronił ode mnie. Rozłączając się ze mną nabrał tyle śmiałości, że mnie zapytał, z kąd idę? Gdym mu odpowiedział, że przybywam ze Stanów Zjednoczonych Ameryki północnéj, widziałem wyraźnie, iż go jeograficzne wiadomości jego opuściły, i że dla niego Ameryka nie była jeszcze odkrytą, mimo, że mowcy nasi co roku przy uroczystości narodowéj, d. 4. lipca, powtarzać nie przestają, jak bardzo Amerykanie są dla całego świata celem podziwienia i zazdrości.

Przybywszy do Ocanny zajrzałem do piérwszych otwartych drzwi, które spostrzegłem, w niewinnym zamyśle zapytania się, gdzie dyliżans stanął. Kilka dziéwcząt, które same przebywały w izbie, na zapytanie moje przerażającym odpowiedziały krzykiem przelęknienia, i jak oparzone poskoczyły wszystkie ku kominowi, by sie w nim ukryć. Moja cudzoziemska wymowa, tłómoczek na końcu kija, przewieszony przez plecy, mój ubior, noc, samotność, i Bóg wié co jeszcze, wszystkoto wyobrażało dobrodusznym dziéwczętom, że je djabeł we własnéj osobie odwiédza. Ponieważ mało zależało mi na tém, ażebym bohatéra w powieści o duchach udawał, więc cofnąłem się ode drzwi, i do innego domu dowiedzieć się o dyliżans poszedłem. Nie potrzebuję jednak dodawać, że dziwaczna bajka o pojawieniu się ducha, nazajutrz po całéj Ocannie krążyła.

Niewiasty otwiérające mi bramę domu zajezdnego, uciekły także na mój widok, a nawet przywołany ku pomocy posługacz, namyślał się długo, czy mnie wpuścić, i radził mi innéj szukać *posady* (jak w Hiszpanii gospody nazywają). Te same z siebie nic nie znaczące okoliczności tak dalece tylko zasługują na uwagę, jak dalece dają nam cokolwiek wyobrażenia o stanie oświaty i moralności w Hiszpanii. Jeden lęka się drugiego, i każdy prędzéj jest tego zdania, że drugi jest rozbójnikiem, niżeli żeby miał uważać go za poczciwego człowieka.

O północy wsiedliśmy do dyliżansu. Dla zabezpieczenia się na wszelki przypadek, pieniądze moje podzieliłem na dwie części; kieska, którą starannie w bócie ukryłem, zawiérała złoto; w drugiéj miałem srébrną monetę, tę przeznaczyłem dla rozbójników, jeźliby mi zrobili ten zaszczyt i poprosili mnie o nią.

Miałem trzech towarzyszy podróży; ci z początku, według zwyczaju hiszpańskiego, ile możności unikali ode mnie; któreto zachowanie się z obcym, w tym tak niebezpiecznym czasie, łatwo pojąć można. Skoro się zaś dowiedzieli, że jestem cudzoziemcem i w rozmowy polityczne wdawać się nie lubię; każdy mi coś o sobie opowiedział.

Najmłodszy między nimi byłto młodzian może 21 letni, z okrągłą, pełną wesołości twarzą. Wykwintny ubior jego i utrefione, woniami tchnące włosy zapowiadały eleganta. Cokolwiek dziwnym do ubioru jego dodatkiem były dwie krucice.

Drugi podróżny byłto uwolniony od służby oficér, który z powodu zasad politycznych stracił swój stopień w wojsku. Był on milczącym, a przeto i ja o nim zamilczę.

Trzeci nakoniec byłto pięćdziesiątletni z prosta wyglądający człowiek, ale otwarty, szczéry, z wielą znajomości świata i gotów znieść odważnie wszystkie, tak obecne, jak i przyszłe przeciwności losu.

Bywał po kolei to fabrykantem, to oberzystą, to żołniérzem, umiał kilka rzemiosł, słowem, byłto drugi *Gil Blas*, nie troszczący się bynajmniéj, jakim sposobem z przykréj wywinąć się przygody. Jak Horacego niczém niepokonanego męża, jego także żadne nieszczęścia ugiąć nie potrafiły i teraz właśnie miał zamiar nowe w Sewilli wykonać przedsiębierstwo, to jest: jechał się żenić.

Oprócz tych osób, na samym wiérzchu dyliżansu siedziało jeszcze dwóch, od stóp do głowy uzbrojonych żołniérzy; dozorca wozu, konduktor i parobek pocztowy uzupełniali liczbę jadących, ogółem było nas dziewięciu. Około ósméj z rana śniadaliśmy w Madridios; ztamtąd dostaliśmy się do wąwozów Manchi, na tę klasyczną ziemię błędnego rycérstwa, na widownię nieśmiertelnych czynów Don Quiszota, i wybornych Sancho Pansy przysłów! — Żywo wyobrażałem sobie owego walecznego zapaśnika, jak przez noc całą stał w pancerzu na straży, gotów każdemu poganiaczowi mułów, któryby się ośmielił uchybić mu winnego uszanowania, głowę roztrzaskać. Lecz wkrótce zjawisko wcale nieprzyjemnego rodzaju ze wszystkich wyrwało mnie marzeń.

Z obu stron gościńca zbliżyło się ku nam bardzo szybkim kłusem kilkunastu jezdców, nader odrażającéj powierzchowności. Jechali na małych, dzikich koniach, i uzbrojeni byli pistoletami, rusznicami, nożami i pałaszami.

»To zbójcy!« zawołałem i mimowolném poruszeniem chwyciłem kij podróżny.

»Dla Boga, nie idź pan w odpór!« krzyknął młody elegant, który przed chwilą jeszcze chwalił się swojemi krucicami. Żołniérzom ani na myśl nie przyszło, by siebie albo nas bronili. Dozorca powozu, konduktor i my podróżni, wszyscy razem z poddaniem się losowi pozwoliliśmy gospodarować zbójcom, jak im się podobało. Zdaje się, że Hiszpanie już wychowani są w trwodze przed zbójcami, témi bohatérami gościńców. Jeden ze zbójców otworzył drzwiczki od powozu, i wysiąść nam rozkazał. Nié miał przyczyny powtarzać swojego ostrego rozkazu, gdyż groźna lufa, jego długiéj, ku nam wymierzonéj rusznicy, była, jakto mówią, dobitnym argumentem *ad hominem*.

Niezwłocznie wysiedliśmy. Ustąpiłem towarzyszom piérwszego przy wysiadaniu kroku, a gdy nareszcie na mnie kolej przyszła, z największą spaniałomyślnością, oraz uprzejmością jednemu z rozbójników, mającemu już pełne dłonie zégarków, złota i innych drogich rzeczy, podałem spomnianą wyżéj srébrną monetą napełnioną kieskę.

Naczelnik zbójców, mała, krępa sztuka, z iskrzącémi się, przebiegłémi oczyma, stał przede mną.

»Nie macie nic więcéj?« krzyknął na mnie z gniewem i zmierzył surowym wzrokiem od stóp do głowy.

»Proszę szukać,« odpowiedziałem. Nie dał się długo prosić, przewietrzył wszystkie kieszenie, a wydobywszy z nich scyzoryk i inne mniejszéj wartości drobnostki, z pogardą rzucił mi je w oczy.

Konduktor skrępowany był grubémi powrozami, inni lub klęczeli, błagając łaski, lub leżeli plackiem na ziemi. Postawa ta zdaje się być w podobnych przypadkach przepisaną, bo zbójcy nie bardzo lubią, ażeby im śmiało w oczy zaglądać. Co do mnie, pomyślałem, że wyborna nadarza się mi sposobność w ojczyźnie wielkiego Cyda przypatrzenia się sprawkom rozbójników; z tego chcąc ile możności korzystać, jako miłośnik i artysta, przypatrywałem się z największą uwagą temu ciekawemu widowisku. Lecz rozbójnicy przekonali mię wkrótce, że to nie było miejsce do robienia badawczych spostrzeżeń i musiałem wraz z innymi twarzą się ku ziemi położyć. Na domiar przykryto mię jeszcze derhą końską i tak w zupełnéj zostawałem ciemności.

Ponieważ ziemia, na któréj leżałem, grubo piaskiem pokryta była, przyszło mi na myśl kiesę z dukatami wydobyć z bóta i zagrzebać w piasku. Ten niedorzeczny pomysł był zupełnie godny największego fryca, ktory nigdy jeszcze nié miał z rozbójnikami do czynienia, bo zaledwo moje podziemne przedsięwzięcie rozpocząłem, spostrzegli zbójcy, że się derha rusza, ściągnęli ją ze mnie i wydarli mi skarb mój, śród przeklęstw, na które dotąd jeszcze krew lodem ścina mi się w żyłach.

»Oddaj zégarek!« zawołał jeden z rozbójników.

»Nié mam! odpowiedziałem oziębłe.

»Jako?« i znowu okropne powtórzył przeklęstwo; »nié masz zégarka?« W mgnieniu oka porozpinawszy suknie na mnie, obmacano mię od stóp do głowy, jak gdybym zégarek mógł gdzie za skóra ukryć.

Tymczasem rzeczy nasze tu i ówdzie porozrzucano po gościńcu. Zbójcy opatrywali wszystko z największą uwagą, i często śmiali się kosztem naszym, gdyż rozbójnicy hiszpańscy lubią pożartować, gdy pora po temu, a nikt nie zaprzeczy, że obecną porę najszczęśliwiéj do tego wybrali. Dwaj nasi młodsi podróżni drżeli i narzekali, sam tylko Gil Blas uważał rzecz tę z najlepszéj strony. Miał w tłómoczku bardzo ładne, dla przyszłéj żony swojéj przeznaczone klejnoty i te chciał ocalić. Odwoływał się do uczucia honoru rozbójników, wystawiając im, że to jest grzéchem damie klejnoty zabiérać. Niczém niezmiękczeni zbójcy dali mu się wygadać, ale klejnoty do kieszeni schowali. Szczęśliwszym był z płaszczem, ten bowiem zostawiono mu przez wzgląd na jego wiek podeszły, a gdy żądano od niego, by także chustkę oddał, którą głowę miał owiniętą, zdjął perukę i z chustką podał ją rozbójnikom, co głośny śmiéch pomiędzy nimi wzbudziło.

Lecz wkrótce odechciało nam się wszelkiego śmiéchu, rozbójnicy bowiem odbywali niejako radę wojenną, a jeden z nich zawołał: »Trzeba ich wszystkich pozabijać!« —»Przez Boga, nie zabijajcie nas!« błagał elegant madrycki. —»Nie zabijemy was, ale oddajcie wszystko złoto, co macie. *Oro*, *oro!*« wołali rozbójnicy, przykładając nam do piersi lufy swych rusznic.

Odpowiedziałem, że nié mam więcéj złota, i że mi już dosyć zabrano. Prawdę mówiąc, groźba zbójców nie wiele mnie niepokoiła, lubo podwójnego wykroczenia winnym się okazałem: raz, że nie miałem zégarka, powtóre, żem ukrył moję kieskę; zdawało się mi bowiem rzeczą niepodobną do prawdy, ażeby w istocie zabicia nas zamiar mieli.

Godzina może upłynęła od zatrzymania naszego powozu, gdy naraz usłyszałem tętent czwałem pędzących koni. Podniosłszy się z piasku, ujrzałem, że zbójcy wyprzęgłszy dwa konie z dyliżansu i naładowawszy je zdobyczą, z niemi uciekli. Pozostałe szkapy stały spokojnie, bez ruchu, z przerzuconémi przez głowy chomątami. W koło powozu leżały w różno-barwnéj mieszaninie pootwierane tłómoki i pudła, i mnóstwo bez żadnéj wartości drobnostek. Zaledwo oddalili się zbójcy, gdy chmura włościan, którzy spokojnie przypatrywali się z daleka, jak nas obdzierano, oraz szarańcza dzieci z poblizkich osad, rzuciwszy się na szczątki naszych gratów, niech tak rzekę, prawo brzegowe wykonywały. Waliza moja, ze wszystkiém, co w niéj było, zginęła gdzieś bez wieści, a z nią kij mój, wierny towarzysz podróży.

Najśmieszniejszém w tej całéj przygodzie było położenie eleganta i uwolnionego od służby oficera. Z dawniejszego wytwornego ich ubioru nic nie pozostało, jak tylko nieodzownie potrzebna szata, w najściślejszém słowa tego znaczeniu, i obaj czém mogli uzupełniali swoję toaletę. Twarze ich tak mocno się przeciągnęły, ich narzekania i postawy tyle miały w sobie śmieszności, że obu nas, mnie i starego Gil Blasa, niewymownie to aż do końca podróży bawiło. W istocie nie miałem wyobrażenia nawet, ażeby to było tak zabawną rzeczą wpaść w ręce rozbójników biszpańskich.

Z Warszawy. P. *Benedykt Rakowiecki*, były inspektor szkoły obwodowéj w Warszawie, a teraz rejent kancelaryi ziemskiéj, autor znanego dzieła *Prawda ruska*, otrzymał od cesarza Mikołaja, przez wzgląd na 21letnią służbę swoję i położone zasługi literackie, 2.000 złp. rocznéj pensyi.

Z Wilna. *Wizerunki i roztrząsania naukowe* w tomiku piątym (r. 1836, str. 126) zawierają: 1) Literatura hindustańska: *Kam-Rup;* powieść Samuela Bacha z *La France littéraire.* 2) Macpherson-Ossijan, z kursu literatury francuzkiéj p. Villemain. Rozmaitości: *a)* Przywileje dwóch królów polskich (Stefana Batorego i Zygmunta III.) dane doktorowi nadwornemu Mikołajowi Buccelli. *b)* Rękopismo z poezyjami. *c)* Zdanie o dziełach: 1. *Opis obrzędów założenia r.* 1830 *i poświęcenia kościoła ewangelicko-reformowanego w Wilnie.* 2. *Historyja biblijna*, podług pisma św. tłumaczenia Wujka, dla użytku młodzieży szkolnéj, przez Leona Rogalskiego. Część I. Historyja starego testamentu (oba dzieła wyszły w Wilnie r. 1836). Doniesienie o zamierzoném wydaniu: *Zoologii, albo historyi naturalnéj zwierząt,* ułożonéj podług systematu Lineusza, przez Nor. Alfon. Kumelskiego i Stanisława Gorskiego.

Z Kijowa donoszą, że tam d. 23. lutego r. b. umarł w 71m roku życia metropolita kijowski i halicki Eugenijusz, znany z cnot pasterskich i uczoności. Właśnie przed zgonem przygotowywał do powtórnego wydania znaczniejsze z dzieł swoich: *Opisanie soboru Stéj Zofii w Kijowie.* (T. P.)

O Alexandrze Puszkinie, którego słusznie Byronem rossyjskim nazywają, a który śród świetnego zawodu swojego tak wczesno zgasł z tego świata, podajemy jeszcze następujace wiadomości, czerpane z umieszczonego w *Journal des Debats* artykułu pana Löwe-Weimers, który w czasie pobytu swojego w Petersburgu miał sposobność poznania poetę tego osobiście. Puszkin pochodził z jednéj z najdawniejszych rossyjskich familij, ale w żyłach jego płynęła także krew gorącego klimatu Afryki; babka jego bowiem była córką książęcia murzyńskiego Hannibala, który w piérwszéj młodości na dwór Piotra Wielkiego powołany, umarł tamże jako jenerał artyleryi rossyjskiéj. Lubo Puszkin nie wychylał się z granic ojczyzny swojéj, dobrze mu jednak znanémi były celniejsze płody literatury francuzkiéj, angielskiéj i niemieckiéj. Poezyje jego odznaczają się prawdziwie narodowém piętnem. Obszérniéjszy poemat jego: *Rustan i Ludmiła,* opiewa czasy Włodzimierza W.; *Jeniec Kaukazu* maluje sposób życia górali czerkieskich; a za *Fontannę w Bakczyseraju,* poemat z 600 wiérszy złożony, którego widownią Krym, otrzymał autor 3.000 rubli honoraryjum.*) *Eugeniusz Onegin* jestto niejako Don Juan rossyjski, i dziełem tem zamknął Puszkin swoje poezyje w rodzaju epopei. Napisał także trajedyję, pod tytułem: *Borys Godunow,* przyjętą z największémi pochwałami, i wiele drobnych poezyj.

Wysoka Porta powzięła zamiar utworzenia zakładu nader pożytecznego dla ludu, a który jest nowym dowodem, jak bardzo teraźniejszy rząd turecki sprzyja postępom cywilizacyi. Wyznaczono pewną liczbę literatów i uczonych, do uformowania akademii pod nazwą: »Biura nowych umiejętności.« Ta społeczność uczonych dzielić się będzie na sześć klas, ażeby każda mogła wyłącznie pielęgnować i doskonalić obrany przez siebie wydział naukowy. *(Journal d'Odessa.)*

W ostatnim numerze pisma naszego spominaliśmy o najmniejszéj książeczce. Największa zaś książka i najkolosalniéjsze dzieło sztuki drukarskiéj jestto *Septuaginta,* któréj wiersze zaczynają się literami wielkości palca. Reszta pisma wydaje się karłowato w porównaniu z témi głoskami, i całe dzieło jestto podwójny z kilkuset arkuszy złożony foliant. Oprawny jest w drzewo, obciągnięte skórą z wołu, a po bokach żelazem okute. Księga ta z wyzłacanémi brzegami już od wieków wisi na łańcuchu.

O sprzeczności życia doniosła pewna gazeta niemiecka: »Mamy zabawne wieczory, a dnie bardzo nudne; piękne sklepowe napisy, a liche towary; gustownie oprawne książki, a dzieła bez żadnego smaku; nadzwyczajne widowiska, a bardzo pospolitych artystów; wielkie stopy (żyć na wielką stopę), a małe głowy; zakładają koleje żelazne, a handel upada; budują świątynie, a pobożność znika; mamy wiele dam, a mało panien; anielskie kochanki, a djabelskie żoneczki; wszędzie sprzeczność; nic bez sprzeczności!«

Gdy nie dawno przeprowadzano w inne miejsce zwłoki Abelarda i Heloizy we Francyi; pewien Anglik dawał za ząb tej ostatniéj 10.000 franków.

Nie dawno w cyrku pp. Tournaire w Bruxelli robiono próbę pewnéj sztuki, w któréj słoń *Kauny* główną grać miał rolę. Próba przeciągnęła się do południa; słoń obraca się do dozorcy i zaczyna łasić się swoją trąbą, jak gdyby chciał powiedzieć, że już czas jadła. Dozorca domyślał się dobrze, do czego te pieszczoty

---

*) Dwa te ostatnie poemata tłumaczone są także na język polski: *Jeniec Kaukazu;* Warszawa, 1828. *Fantanna w Bakczyseraju;* Wilno; 1826.

zmierzają, lecz udaje, że nie uważa tego, i niby zagadał się z obecnymi. Słoń zniecierpliwiony nareszcie, że nie zwracają na niego uwagi, podnosi trąbą swojego pana, stawia go na głowie, i oddala się z nim ze stajni, zostawiając artystów, ażeby sami kończyli próbę.

Niejaki Telapius oskarżony był przed cesarzem Julianem o rozmaite występki. Te oskarżenia jednak były tak niedokładne, że nie można ich było udowodnić a Telapius wszystko przeczył, o co go obwiniano. »Jeźli zaprzeczanie jest dostateczną rzeczą,« zawołał oskarżyciel, »któż się wtedy od kary nie wywinie?« — »A jeźli jest dosyć zaskarżyć tylko,« odpowiedział cesarz, »któż się natenczas w niewinności swojéj ostoi.«

Nowo odkryta wyspa. Koło wysp Karolińskich na Archipelagu, pod 11m stopniem północnéj szerokości, korweta *Roven* nie dawno jednę wyspę odkryła. Krajowcy jéj są łagodnéj natury i mówią daleko przyjemniejszym językiem, niźli inni mieszkańcy wysp wielkiego Oceanu. W północnéj stronie na pewném miejscu, zwaném *Tamen*, znaleziono szczątki jakiegoś starożytnego miasta, do którego tylko na czółnie zbliżyć się można, ponieważ bałwany morskie ląd podmuliwszy, ze wszech stron go oblały. Ruiny te, mające pół-trzeciej godziny drogi obwodu, zarosłe są drzewami kokosowémi, chlebowémi i innemi roślinami. Pojedyncze szczątki murów z bramami i strzelnicami, odznaczają obwód miasta. Kamienie, z których takowe stawiane, są zupełnie odmienne od znajdujących się w sąsiedztwie, i w obrobieniu, tudzież w spojeniu swojém udowodniają wysoki stopień przemysłu, będący w uderzającéj sprzeczności z obecną dzikością mieszkańców. Niektóre z tych kamieni mają 20 stóp długości, a 5 szerokości i przy ich spajaniu nie spostrzegano śladu wapna rozrobionego z piaskiem. Nie daleko tego starożytnego miasta wznosi się góra, któréj skały pokryte są figurami symbolicznémi, a ośm godzin daléj w głąb kraju znaczniejsze jeszcze odkryto gruzy. Mieszkańcy pytani o początek tych gmachów wskazują na niebo, jak gdyby powiedzieć chcieli, że one są dziełem wyższych istot.

Ryba miasto światła. *Uthlekan* jestto mała ryba, żyjąca w rzekach amerykańskich, nie daleko Rocky Mountains. Jest połyskującego się żółtego koloru i tak tłusta, że w przypadku, jak świeca palić się może. Nie raz w ten sposób używają jéj krajowcy. Płynie gromadami, nito jednostajny słup świecący, i Indyjanie łowią ją w znacznéj ilości małémi sieciami. Ryby te jadane bywają suszone, a krajowcy je w chatach swoich na rożenkach, jak u nas owoce, rozwieszają.

Scena w sądzie angielskim. Niejaki Walters zaskarżył Izaka Gobble, trudniącego się hodowaniem bydła, o dług 10 talar. Obżałowany przyznając się do długu, utrzymywał, że zapłacić nie może, ponieważ nic nie ma własnego. — »Masz wćpan krowy.« — »Żyję wprawdzie z kilku krów, ale te nie są moje własne.« — »Jakto?« — »Nie zapłaciłem za nie jeszcze, przeto nie mogę nazywać je mojemi.« — »Wćpan masz wózek i konia.« — »Mam, ale i te nie moje; wózek pożyczam, a koń mojego brata.« — »Handlujesz staremi rzeczami.« — »Prawda, ale nie na swój rachunek; kupuję i sprzedaję dla pa. Radcliffe.« — »Masz dzieci?« — »Ja? nie mam; te, które są u mnie, są to mojego brata.« — »To masz przynajmniéj żonę?« — »Niby to mam, lubo ta kobieta, która ze mną mieszka, nie jest istotnie żoną moją.« — »Nie widziałem jeszcze tak bezczelnego oszusta, jak wćpan jesteś,« rzecze nareszcie zniecierpliwiony sędzia; »słuchaj mnie człowieku, który powiadasz, że nie masz żadnéj własności. Jeźli w przeciągu miesiąca nie zapłacisz długu, to wyznaczę ci pomieszkanie, które także twoją własnością nie będzie.«

Napoleon i uczeń szkoły wojskowéj. Pierwszéj niedzieli w każdym miesiącu zwykł był cesarz odbywać po mszy ś. wielki przegląd gwardyi na dziedzińcu zamkowym w Tuileryjach. Dnia jednego już z rana wezwać kazał na tę paradę młodych uczniów szkoły wojskowéj z St. Cyr. Między tą młodzieżą wpadł w oczy cesarzowi sierżant, mający najwięcéj 17 do 18 lat, ale którego postawa była tak śmiałą i tak prawdziwie wojskową, jak gdyby był starym żołniérzem. Cesarz lubił swoich przyszłych wielkich mężów niejako, jakto mówią, z jajka poznawać; kazał więc wystąpić młodemu sierżantowi, zadał mu kilka zapytań, a potem przesyłając go do piérwszego pułku grenadyjerów staréj gwardyi, która w szeregu przed cesarzem stała, rozkazał mu zakomenderować tym starym wąsaczom exercerunek w marszu, z bronią i w różnych innych popisach. Musimy tu uprzedzić czytelnika, że szkoła wojskowa w St. Cyr miała od dawna szczególną sławę z wybornego robienia bronią, stara zaś gwardyja, żyjąc więcéj spomnieniami zwycięztw swoich, mało ćwiczyła się w broni i zręczność w tém nie wiele ceniła. Młody sierżant staje bez ulęknienia o trzydzieście kroków przed środkiem frontu, gdzie starzy wojskowi wąsacze byli jeden przy drugim rozstawieni i głosem donośnym, bez najmniejszego zmieszania się zakomenderował: »Baczność — prezentuj broń!« Grenadyjerowie prezentują, ale niedbale i nie za jednym rzutem. »Nie dobrze,« zawołał młody żołniérz w tonie napomnienia; »jeszcze raz!« Cesarz się uśmiecha; gdyż nie jednemu staremu wojakowi rzecz ta śmieszną się wydaje. Uczeń z St. Cyr woła po raz drugi głosem, jak tylko można najmocniejszym: »Baczność — prezentuj broń!« Grenadyjerowie wykonywują to po raz drugi, ale nie lepiéj, jak piérwszą razą. »Do stu piorunów!« krzyknął sierżant, »powiadam, że źle idzie.« I cofa się o dziesięć kroków w tył, by całemu szeregowi lepiéj się przypatrzył. »Pokażę wam, jak robić, patrzcie: raz, dwa, trzy,« i zprezentował broń bez żadnéj nagany, jak tylko można najzręczniéj. Cesarz głośno się rozśmiał, kilku starych grenadyjerów zmarszczyło czoło; młody człowiek komenderuje po raz trzeci: »Raz jeszcze baczność — prezentuj broń!« Gwardyja słucha rozkazu, ale zawsze nie idzie lepiéj, jak oba piérwsze razy. Mały sierżant uderza z niecierpliwości karabinem w ziemię: »Czy nie słyszeliście? To nie do wytrzymania, mustrujecie się, jak stare baby!« Tego było za nadto. Szmer grozny przebiega przez cały szereg, a tu i ówdzie słyszeć się dają gniewne wyrazy: »Młokos, dzieciuch!« Cesarz, zasłyszawszy to, występuje naprzód, wszystko się ucisza. Bierze broń od młodego sierżanta, staje w środku dziedzińca, mając po prawéj grenadyjerów, po lewéj uczniów z St. Cyr i sam we własnéj osobie komenderuje uczniami. Ci zachęceni przykładem, jakiego byli świadkami, a więcéj jeszcze donośnym głosem cesarza, każdy manewr, który im zakomenderowano, wykonywują z nieporównaną szybkością i zręcznością, cały szereg, jak gdyby jeden żołniérz. Cesarz milczał tak długo, jak długo widział gniéw po wąsatych twarzach starych grenadyjerów, potém obracając się do nich z uśmiechem i wskazując ręką na kolumnę młodzieży, rzecze: »No dzieci, przyznacie sami, że ci malce dobrze rzecz swoję robią.« A przystępując do młodego sierżanta i oddając mu karabin, wyrzekł uroczystym, pełnym znaczenia głosem: »Dobrześ się sprawił, młody przyjacielu!, ale my w młodości naszéj jeszcześmy to lepiéj robili.« Słowa te pojednały wszystkich, i jednogłośnie ze wszystkich szeregów dał się słyszeć okrzyk: »*Vive l'Empereur!*«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*